

Korea, a w tle wypadek lotniczy, wybuch wulkanu i możliwość wojny

Andrzej Jajszczyk

14.04.2010 (środa)

O 8:45 wylatujemy z Krakowa do Monachium. Nad stolicą Bawarii dużo chmur. Tuż nad pasem startowym pilot gwałtownie podrywa maszynę do góry i przerywa lądowanie. Po kilku minutach informuje, że na pasie pojawił się nieprzewidziany samolot. Robimy dużą pętlę i tym razem szczęśliwie lądujemy. W południe wylatujemy samolotem Lufthansy do Seulu. Przy okazji miła niespodzianka — przed wejściem na pokład zmieniają nam karty pokładowe i siadamy w klasie biznesowej. To duża wygoda, biorąc pod uwagę, że ten odcinek podróży trwa ok. 10 godzin. A przy tym lepsze posiłki i bardzo dobre wino z regionu *Haut-Médoc*.

W czasie podróży oglądam dwa filmy: katastroficzny „2012” i kolejną wersję „Sherlocka Holmesa.” Ten pierwszy z oczywiście idiotyczną fabułą nt. końca świata (no, prawie), ale z rzeczywiście niezłymi efektami specjalnymi. Drugi, w reżyserii Guy Ritchie, znakomity. Podobała mi się scenografia XIX-wiecznego Londynu, dobra muzyka, niebanalny scenariusz, szybka akcja. Świetne role Roberta Downey Jr. jako Sherlocka Holmesa i Jude Law jako dra Watsona.

15.04.2010 (czwartek)

Do Seulu przylatujemy ok. 6:00 rano. Po odebraniu walizek wsiadamy do autobusu (*KAL Limousine Bus*) i jedziemy do pięciogwiazdkowego hotelu *Shilla* w centrum miasta. Podróż jest dosyć długa, tak że na miejscu zjawiamy się ok. 8:00. Nasz pokój nie jest jeszcze gotowy. Idę więc bezpośrednio na rozpoczynające się o 8:30 posiedzenie zarządu (OpCom) IEEE Communications Society, a Basia zostaje by załatwić nasze ulokowanie. W posiedzeniu bierze udział ok. dwudziestu osób. Sporo ważnych tematów, szczególnie w świetle obecnych trudności finansowych stowarzyszenia. Wczesnym popołudniem jemy lunch w stylu koreańskim. Basia w tym czasie zwiedza okolicę, wjeżdżając między innymi na wieżę telewizyjną i odwiedzając skansen z budynkami koreańskiej wioski. Ćwiczy też z Koreankami na ogólnodostępnych przyrządach gimnastycznych.

Po południu dalszy ciąg obrad. Wieczorem, w restauracji hotelowej, elegancka kolacja dla uczestników posiedzenia OpCom, przedstawicieli koreańskiego stowarzyszenia KICS, a także szefostwa firmy Samsung, wydana przez tę ostatnią. Do kolacji świetne wina. Ja piję wino Merlot *Rutherford* z Napa Valley. Większość osób, wywoływanych do mównicy, wygłasza toasty. Świetnie wypada Basia. Mówię też ja, m.in. o obecności firm koreańskich w Polsce i o szansach jakie daje inwestowanie w naszym kraju.

Po kolacji zaglądam do Internetu. Wieści z Polski zdominowane oczywiście wypadkiem prezydenckiego samolotu, 10 kwietnia, pod Smoleńskiem. Tym razem wiadomość dla mnie naprawdę bulwersująca — Lech Kaczyński i jego żona Maria mają być pochowani na Wawelu. Uważam to za skandal. Niezależnie od ludzkiego współczucia ofiarom wypadku i ich rodzinom nie widzę żadnego powodu pochowania prezydenckiej pary wśród polskich wieszczów, bohaterów narodowych i królów. Ta decyzja, o wybitnie politycznej motywacji, musi doprowadzić do pogłębienia podziałów wśród Polaków, a już wydawało się, że niezależnie od wcześniejszych sporów i urazów, potrafiliśmy zjednoczyć się w żalobie.

16.04.2010 (piątek)

Rano świetne śniadanie w hotelowej restauracji. Potem ja idę na obrady OpComu, a Basia rusza do miasta. Pod koniec obrad lunch w znakomitej restauracji we francuskim stylu. O 14:30 Byeong z resztą uczestników posiedzenia wyrusza z hotelu w kierunku pałacu *Changdeokgung*. Niestety Basia nie wróciła jeszcze z miasta. Co gorsza, jej telefon komórkowy nie odpowiada. Coraz mocniej zdenerwowany czekam w holu hotelu. W końcu, o 15:05, pojawia się moja ukochana żona. Pędzimy do przystanku metra i jedziemy w okolice pałacu. Nasza grupa jest już we wnętrzu, ale po telefonie do Byeonga, wychodzi do nas jedna z towarzyszących grupie sekretarek. Dołączamy do reszty oprowadzanej przez przewodniczkę ubraną w tradycyjny koreański strój.

Mamy duże szczęście — jest piękna wiosenna pogoda, a właśnie kwitną wiśnie i inne drzewa i krzewy. Pałac *Changdeokgung* został zbudowany w 1405 roku przez króla Taejong i rozbudowywany w latach późniejszych. Cały kompleks zajmuje duży i urozmaicony teren blisko centrum miasta. Oglądamy, głównie z zewnątrz, piękne pawilony; z wyposażenia wewnątrz prawie nic nie dotrwało do naszych czasów. Podziwiamy też wyrafinowane systemy ogrzewania podłogowego i odprowadzania dymu do zewnętrznych kominów. Bardzo ładny jest kompleks budynków przeznaczonych kiedyś dla konkubin króla. Zwiedzanie kończymy na sekretnym (tajemniczym?) ogrodzie z pięknymi drzewami, sadzawką i pawilonami. To już drugi seulski pałac królewski, który udało się nam zwiedzić. W czasie poprzedniego pobytu widzieliśmy pałac *Gyeongbokgung*.

Po wyjściu z pałacu podjeżdżamy metrem, a następnie dochodzimy do kompleksu *Korea House*. Tu zostawiamy buty przed wejściem i wchodzimy do eleganckiej koreańskiej restauracji, gdzie jemy tradycyjną kolację. Pijemy do niej piwo i wino ryżowe. Później przechodzimy do sali widowiskowej i oglądamy występy zespołów folklorystycznych. W jednym z tańców na scenie bierze udział i Basia, za co dostaje na pamiątkę instrument złożony z dwóch drewnianych pałeczek. Potem jeszcze zbiorowe zdjęcia i taksówkami wracamy do hotelu.

17.04.2010 (sobota)

Po wczesnym śniadaniu w hotelu zabieramy nasze bagaże i taksówką jedziemy na dworzec kolejowy. Basia już wcześniej kupiła bilety. Pociągiem, typu francuskiego TGV, jadącym ponad 300 km/h, docieramy do miasta Dingdaegu. Tu przesiadamy się na inny pociąg i koło południa docieramy do Gyeongju — historycznej stolicy królestwa Shilla. Wchodzimy do punktu informacji na placu przed dworcem kolejowym, gdzie Basia dopytuje się o atrakcje turystyczne i możliwości noclegu. W końcu postanawiamy sami znaleźć jakiś niezbyt kosztowny hotel. Idziemy przez centrum niewielkiego stosunkowo miasta w kierunku dworców autobusowych. Zachodzimy po drodze do kilku moteli. W końcu decydujemy się na *Tae Yang Jang Motel*. Pokój i łazienka są czyste i przytulne, chociaż neobarokowe meble są po prostu okropne.

Zostawiamy bagaże i idziemy ponownie w kierunku centrum miasta. To prawdziwe miasto kurhanów (kopców). Najpierw przechodzimy przez pierwsze ich skupisko *Noseo-ri*, stanowiące ogólnodostępny park. Później w restauracji *Tourist Korean Folk Restaurant* jemy świetne pierożki z mięsem. Kolejny cel zwiedzania do to *Daereungwon* — największy zespół, bo aż trzydziestu grobowych kurhanów. Wśród nich *Cheonmachong*, czyli *Grobowiec Niebiańskiego Konia*, powstały w V lub VI wieku, który po przekopaniu udostępniono zwiedzającym. Oglądamy w nim komorę grobową w postaci wielkiej drewnianej skrzyni, a w niej repliki m.in. wspaniałej złotej korony, pasa i butów (oryginały podziwiamy wieczorem w Muzeum Narodowym). Skrzynia była obsypana wielką masą kamieni, pokryta grubą warstwą ziemi i obsiana trawą. Ten i pozostałe kurhany stanowią część pięknego i pełnego kwitnących drzew parku.

Idziemy na dworzec autobusowy, a stamtąd taksówką jedziemy na drugą stronę rzeki do grobowca generała Kim Yushin, żyjącego w latach 595 – 673, w tzw. okresie Trzech Królestw. Odegrał zasadniczą rolę w ich zjednoczeniu. U podstawy kurhanu znajduje się dwanaście kamiennych płaskorzeźb przedstawiających zwierzęta reprezentujące znaki zodiaku. Do centrum miasta wracamy ulicą obsadzoną przepięknie kwitnącymi wiśniami. Przechadzają się tu tłumy Koreańczyków.

Po przejściu przez rzekę wchodzimy w dzielnicę starych domów. Widać malownicze dachy, bramy, stojące w wielu miejscach kamionkowe beczki na kimchi. Zaglądamy też na podwórze tradycyjnego domostwa przekształconego na hostel *Sa Rang Chae* (Basia próbowała tu, przed naszym przyjazdem, zarezerwować noclegi, ale nie było już miejsc). Dochodzimy do obserwatorium astronomicznego *Cheomseongdae* zbudowanego w roku 634, w okresie panowania królowej Seonduk — podobno najstarszego w Azji. To budowla o wysokości ponad 9 metrów i średnicy podstawy wynoszącej ponad 5 metrów.

Idziemy przez kwitnące pola rzepakowe, poprzecinane kwiatowymi rabatkami. Dużo ludzi fotografujących się wśród kwiatów. W zachodzącym słońcu pięknie widać zespół kurhanów *Dongliu*. O zmierzchu dochodzimy do stawu *Anapji* na obszarze zwanym

Imhaejeon. Poza pięknym stawem otoczonym kwitnącymi drzewami jest tam też kilka pawilonów nawiązujących do istniejącego tu kiedyś pałacu książęcego. Już po zmroku docieramy do Muzeum Narodowego. Oglądamy święty dzwon króla Seongdeok. Już z oddali słychać jego piękny dźwięk. Po podejściu bliżej orientujemy się, że dźwięk ten pochodzi z głośników umieszczonych obok nieruchomego dzwonu. W muzeum ograniczamy się do zwiedzenia ekspozycji w głównym pawilonie, oglądając m.in. wspaniałą złotą koronę i figurki wydobyte z królewskich grobów.

Basia wpada na pomysł by dojść do miejsca na północ od centrum miasta, gdzie odbywa się doroczny Festiwal Ryżu. Po drodze zachodzimy do małej restauracji specjalizującej się w wieprzowym mięsie z grilla. W środku dużo młodych ludzi i sympatyczna atmosfera. Na podgrzewanej gazem, kamiennej płycie grillujemy mięso, grzyby i niektóre jarzyny. Pomaga nam w tym właściciel restauracyjki. Jest oczywiście i kimchi. Po dosyć długim spacerze przez nocne Gyeongju dochodzimy na miejsce ryżowego festynu. W namiotach można kupić tandetne pamiątki i zabawki, a także najróżniejsze potrawy. Najmniej widać tam ryżu, będącego tematem przewodnim imprezy. Są za to tłumy ludzi. Generalnie spore rozczarowanie. Wracamy przez wąskie ulice miasta do naszego motelu, błędząc nieco po drodze.

Korzystając z kiepskiego komputera stojącego przy okienku recepcji sprawdzam wieści ze świata. Wygląda na to, że jesteśmy odcięci od Europy na skutek wybuchu wulkanu na Islandii. Przestrzeń powietrzna m.in. nad Niemcami (mamy lecieć przez Monachium) i Polską jest zamknięta. Basia sugeruje, że możemy próbować dostać się do Japonii, stamtąd do Władawostoku i koleją transsyberyjską wrócić do domu. Dwa tygodnie podróży powrotnej nie wydaje mi się najlepszym pomysłem, tym bardziej, że nie mamy rezerwacji, ani rosyjskich wiz. Próbowałbym raczej dolecieć gdziekolwiek do Europy (otwarte jest jeszcze np. lotnisko w Madrycie) i stamtąd koleją i autobusami „przedzierać” się do Polski. Na razie postanawiamy kontynuować naszą kilkudniową podróż po Korei.

18.04.2010 (niedziela)

W naszym motelu, wyglądającym nieco na „hotelik na godziny,” nie ma śniadań. Próbuje więc znaleźć coś na zewnątrz. Okazuje się to niezbyt łatwe, ponieważ normalne restauracje są zamknięte na wszystkie spusty, a McDonald’s nas zdecydowanie nie interesuje. Znajdujemy w końcu czynną koreańską restaurację w hotelu *Park*. Jemy tam pożywne zupki wołowe i różne warzywa. Na przystanku autobusowym czekamy na autobus nr 500. Spotykamy tam dwóch Anglików, którzy uczą angielskiego w Seulu. Dziwią się, że jesteśmy turystami. Mówią, że jedyni cudzoziemcy jakich tu spotykają, to też nauczyciele angielskiego.

Autobusem jedziemy do końca, aż do przedmieść Ulsanu. Parokrotnie pytając o drogę docieramy do leżącej na stoku góry kliniki medycyny orientalnej *Chorakdang*, co podobno znaczy: „ciało i dusza stają się zachwycające po staniu się jednością z naturą.” Klinika to kilka ładnych, historycznych budynków z drewna i gliny, a także postawiony obok wstrętny „gargamel” z cegły i szkła. Basia umawia się na wizytę za pół godziny. Ponieważ mamy trochę czasu, idziemy na spacer w górę pokrytego lasem stoku. Na grzbiecie nowiutka granitowa budowla, która po bliższym przyjrzeniu się okazuje się grobowcem. W pobliżu dwa kopułowate kopczyki, porośnięte trawą; przy nich granitowe tabliczki i wyrytymi znakami — to też najwyraźniej groby. Schodzę z Basią na dół do kliniki, zostawiam ją tam i wracam na grzbiet góry. Tym razem skręcam w przeciwnym niż poprzednio kierunku i ruszam przez las. Co kilka minut napotykam na kopczyki trawiastych grobowców rozrzucone na polankach w całym lesie. Dosyć przygnębiające uczucie i szkoda tego lasu zamienionego w cmentarz. Za to w dalszej perspektywie widoki na szerokie doliny. Wracam na teren kliniki. Basia kończy swoją, podobno miłą, rozmowę z lekarzem. Na szczęście jedna z pacjentek znała angielski i mogła służyć za tłumaczkę.

Schodzimy do miejscowości znanej ze znakomitej wołowiny. Wchodzimy do jednej z licznych tu restauracji serwujących wołowe *bulgogi*, czyli „mięso z ognia.” We wnętrzu dużo ludzi siedzących na leżących na podłodze poduszkach. Na środku niskich stolików znajdują się paleniska do grilla, a nad nimi rury wyciągów. Zostajemy usadzeni przy

jednym ze stolików. Mamy problem z dogadaniem się, z mówiącym tylko po koreańsku, personelem. W końcu, z pomocą zdjęć potraw, udaje się. Przynoszą nam warzywa, kimchi, grzyby, przyprawy, zupy, plastry pięknej, surowej wołowiny, a także wołowinę marynowaną pociętą w wąskie paski (coś w rodzaju *carpaccio*), a także duże liście sałaty. Rozpalają węgiel drzewny pod kratką grilla. Osoba z personelu pokazuje jak się zabrać do grillowania. Jak zwykle dają się nam we znaki stalowe koreańskie pałeczki. Jemy znakomite *carpaccio*; kawałki podpieczonej wołowiny z przysmażonymi grzybami, a także świeżymi kiełkami zawijamy w liście sałaty i jemy to wszystko razem. Pycha!

Z restauracji idziemy na przystanek autobusowy i wsiadamy do ruszającego za chwilę autobusu nr 500. Podjeżdżamy kilka przystanków i wysiadamy w miejscu zwanym Samneung, u podnóża gór Namsan. Dochodzimy do kurhanu króla Gyeongae, 55-tego króla królestwa Shilla, panującego w latach 924 – 927, zabitego w czasie bankietu przez żołnierzy z armii rebeliantów z Gyeonhwon. Kurhan ma 43 metry obwodu, 12 metrów średnicy i 4,2 metra wysokości. Przez sosnowy las dochodzimy do kolejnych trzech kurhanów w miejscu zwanym Bae-ri – pochowani są tam trzej królowie królestwa Shilla: Adalla (8 król, panował w latach 154 – 184), Sindeok (53 król, panował w latach 912 – 917) i Gyeongmyeong (54 król, panował w latach 917 – 924). Największy z kurhanów ma 61 metrów obwodu i 5,8 metra wysokości.

Spotykamy wielu, dobrze wyekwipowanych, koreańskich turystów. Jeden z nich pyta słabą angielszczyzną skąd jesteście. Gdy odpowiadamy, że z Polski, mówi tylko jedno słowo: „Walesa.” Spotykamy też dwie młode kobiety o wyraźnie nieazjatyckich rysach – to nauczycielki angielskiego, jedna ze Stanów Zjednoczonych, a druga z Kanady. Przez porośnięty dzikimi azaliami sosnowy las idziemy w górę. Teren robi się coraz bardziej skalisty. W wielu miejscach rzeźby, często mocno zniszczone, związane z kultem Buddy. Dochodzimy do buddyjskiej pustelni *Sangseonam*. Nad niewielkim budynkiem przepięknie kwitnie wielkie drzewo wiśni. Podchodzimy nieco wyżej i docieramy do bardzo ładnie położonej płaskorzeźby Buddy (*Maaesseokga Yeoraejwasang*), wykutej w granitowej skale. Obok malownicza sosna. Spod posągu roztaczają się imponujące widoki na dolinę i odległe pasma gór rozpostartych na zachodzie.

Podchodzimy skalistą ścieżką do głównej grani i docieramy nią do wierzchołka Geumobong (468 m). Chwilę zastanawiamy się co dalej. Postanawiamy zejść do głównej trasy turystycznej wiodącej w kierunku Bae-dong. Idziemy samotnie szerokim i wygodnym traktem z rozległymi widokami w kierunku wschodnim. Schodzimy z niego w wąską ścieżkę, którą chcemy dojść do południowych obrzeży Gyeongju. W rejonie dawnej górskiej twierdzy *Namsansanseong* gubimy się jednak zupełnie. Postanawiamy zejść do głównej drogi biegnącej wzdłuż gór Namsan od zachodu. Ledwie widocznymi ścieżkami, a potem mocno skalistym zboczem, schodzimy ostro w dół. Po drodze spotykamy sporo trawiastych grobów. Boimy się trochę by na tym zupełnie nam nieznanym zboczu nie złapał nas zmierzch. Na szczęście dochodzimy do zabudowań niewielkiej wioski Tap-dong. Przy okazji napotykamy inny ciekawy zabytek gór Namsan, a mianowicie prawie czterometrowe, kamienne podpory do flag Namgansaji Dangganjiju. Zachodzimy do wioski. Obok biednie wyglądających tradycyjnych domków widać też nowe i wymuskane siedziby przybyszy z miasta. Docieramy do głównej drogi koło miejsca zwanego studnią Najeong. Tu podobno w 69 roku przed Chrystusem narodził się z tajemniczego jaja Pak Hyeokgeose, legendarny pierwszy król Shilla.

Później dochodzimy do przedmieść Gyeongju i taksówką dostajemy się do naszego hotelu. Wieczorem jemy pierożki w znanej już nam restauracji w centrum miasta, a potem jeszcze pijemy kawę i jemy francuskie ciasteczka w cukierni *Paris Baguette*. Kupujemy także drożdżówki na jutrzejsze śniadanie.

19.04.2010 (poniedziałek)

Rano jemy nasze drożdżówki i pijemy herbatę. Później autobusem nr 11, dosyć okrężną trasą przez kompleks wypoczynkowy nad sztucznym jeziorem Bomun, jedziemy do świątyni *Bulguksa*. W kompleksie stoją liczne, na ogół luksusowe hotele, jest też park rozrywki i tereny wystawowe (*World Culture Expo*). Wspaniały zespół świątynny *Bulguksa*, znajdujący się na stoku świętej góry Tohamsan, zaczął powstawać w roku 751. Większość obecnych budynków, to na ogół pochodzące z różnych okresów repliki starych

budowli. Świątynię otwierają monumentalne schody symbolizujące 33 niebiańskie światy buddyzmu. Przechodząc przez kolejne dziedzińce, zaglądamy do poszczególnych pawilonów z posągami Buddy, podziwiamy pagody i stupy. Na terenie świątyni spotykamy dużo wycieczek szkolnych. Uroku dodają kwitnące drzewa. Przy jednym z budynków pielgrzymi budują swoje własne pagody z leżących tu kamieni. Wśród setek innych, powstaje i mała pagoda Basi. W sklepie z pamiątkami kupujemy oryginalną kołatkę z czereśniowego drewna.

Wychodzimy ze świątyni i przez gęstwinę kwitnących wiśni schodzimy do leżącej u jej stóp wioski dla turystów. Dzisiaj pustawo, pewnie dlatego, że to poniedziałek. Zaglądamy do kilku z licznych tu koreańskich restauracyjek. Niestety nie wyglądają najlepiej — widać wyraźnie, że żerują na turystach. Dochodzi nawet do tego, że w jednej z nich kobieta, która podała nam menu, nie potrafi ukryć złości, gdy dziękujemy i odchodzimy. Na ogół ludzie w Korei są bardzo uprzejmi. W końcu decydujemy się na restaurację, do odwiedzenia której namawiała nas kobieta przy wyjściu ze świątyni. Zamawiamy tradycyjną potrawę *bibimbap* (wymawiane: pibimpap), co oznacza „wymieszany ryż.” Tak też jest w istocie — do ciepłego ryżu dodaje się warzywa, ostrą pastę i jajko. To wszystko trzeba przed jedzeniem dobrze wymieszać. Niestety tym razem jest to bardzo przeciętna wersja turystyczna.

Następny cel zwiedzania to słynna grota *Seokguram* leżąca powyżej zwiedzanej przez nas już wcześniej świątyni i blisko wierzchołka góry Tohamsan. Jakkolwiek można tam podjechać autobusem, postanawiamy dojść piechotą, dobrze przygotowaną trasą turystyczną. Zdecydowanie było warto. Piękny wczesnowiosenny las, dużo ptaków i mnóstwo biegających pręgowców (*chipmunks*). Odleglejsze widoki niestety przysłonięte mgiełką. Po drodze Basia ćwiczy na przyrządach gimnastycznych ustawionych przy drodze. Potem pijemy świętą wodę ze źródła. Efekt psują trochę plastikowe węże przytwierdzone do ust rzeźbionych granitowych smoków, z których tryska woda. Nieco już zasapani dochodzimy do terenu, na którym znajduje się grota. Kupujemy bilety i idziemy dalsze kilkaset metrów. Co chwila z grup licznych szkolnych wycieczek dobiega do nas „hi,” z wyraźną sugestią odpowiedzi. Odpowiadamy więc uprzejmie.

Do sztucznej, zbudowanej w ósmym wieku grotę, ciągnie się spora kolejka ludzi. W środku wielki granitowy posąg siedzącego Buddy. Rzeźba i nastrój panujący w tym miejscu robią rzeczywiście duże wrażenie. Po przejściu grotę schodzimy tą samą drogą do świątyni Bulguksa, a stamtąd autobusem nr 11 wracamy do Gyeongju. Po drzemce w hotelu idziemy do zupełnie pustej restauracji „Grand,” gdzie jemy tradycyjną koreańską potrawę *hanjeongsik* zawierającą wiele osobno podanych warzyw, mięs i ryżu.

Wieczorem oglądamy w koreańskiej telewizji wiadomości na temat ich zatopionego niedawno okrętu, na którym zginęło prawie pięćdziesięciu marynarzy. Animacje pokazują, że zatopiła go północnokoreańska torpeda. Widać też relacje z przegrupowywania wojsk południowokoreańskich w kierunku granicy. Tego nam tylko brakuje — nie dość, że jesteśmy odcięci od Europy przez wybuch wulkanu, to tu na miejscu szykuje się wojna z nieobliczalnym krajem, który posiada broń atomową!

20.04.2010 (wtorek)

Po lekkim śniadaniu w *Paris Baguette*, wracamy do hotelu, zabieramy rzeczy i idziemy na pobliski dworzec autobusowy. Basia kupuje bilety i wkrótce potem, w bardzo wygodnym autobusie, jedziemy do Busanu, drugiego co do wielkości miasta Korei. Na ekranie telewizora, wiszącym na przedzie autobusu, widzimy relację z pogrzebu prezydenta Kaczyńskiego i jego żony na Wawelu. Podróż autostradą trwa tylko 50 minut. Na dworcu autobusowym Basia dopytuje się w punkcie informacji turystycznej o hotele. Spotykamy tam też sympatyczne małżeństwo ze Stanów Zjednoczonych, które kończy dziś zwiedzanie Korei i wybiera się w dalszą podróż do Japonii. Jedziemy metrem do centrum miasta. Miasto jest pięknie położone wśród gór i nad morzem. Ze stacji metra *Seomyeon* idziemy kilkaset metrów do otwartego niecały miesiąc temu hotelu *Toyoko Inn*. Początkowo recepcjonistka twierdzi, że o tej wczesnej porze nie ma jeszcze gotowego pokoju. Po miłej rozmowie z Basią pokój się jednak znajduje. Jest maluteńki, ale za to sterylnie czysty, z dostępem do Internetu i szerokim widokiem na okolicę. Nieco

szokujące jest, że na parterze wszyscy mogą obserwować na wiszącym na ścianie monitorze co dzieje się w dwóch obsługujących hotel windach.

Postanawiamy pojechać na lotnisko, aby w biurze Lufthansy osobiście rozeznaczyć się w sytuacji i być może szukać innych połączeń do Europy. W Internecie nie bardzo można zorientować się co naprawdę lata. Na miejsce docieramy metrem i autobusem. Wbrew obawom do biura Lufthansy nie ma kolejki. Jest i jeszcze lepsza wiadomość. Nasz jutrzejszy lot do Monachium ma odbyć się planowo i jest to pierwszy lot z Korei do Niemiec po kilku dniach przerwy! Odprężeni idziemy do koreańskiej restauracji na lotnisku i jemy smaczny obiad. Potem autobusem nr 201 wracamy do centrum miasta. Trochę chodzimy po wielkim centrum handlowym *Lotte* (jest tam m.in. kiczowata replika rzymskiej fontanny *di Trevi*). Ceny są jednak zdecydowanie mało zachęcające.

Basia zostaje w mieście, a ja wracam do hotelu i pracuję, korzystając z dostępu do Internetu. Piszę zaległe recenzje artykułów, odpowiadam na e-maile. Niestety z Europy nadchodzą złe wiadomości — przestrzeń powietrzna nad Polską i Niemcami jest podobno ponownie zamknięta. Po powrocie Basi, ok. 21:30 wychodzimy z hotelu, aby znaleźć jakąś restaurację. Początkowo nie wygląda to najlepiej, ale wchodzimy w wąskie i mocno oświetlone reklamami uliczki. Tu zaczyna się prawdziwy raj dla smakoszy. Dziesiątki restauracyjek, kawiarni, pubów i barów, setki głównie młodych ludzi. Dominują owoce morza, z których słynie Busan. Przed restauracjami akwaria z ośmiornicami, małżami i niekiedy dziwnie wyglądającymi rybami. Najpierw przegryzamy coś z ulicznego straganu. Później wchodzimy do małej restauracyjki. Zamawiamy apetycznie wyglądającą potrawę. Na podgrzewanej gazem patelni gotują się w smakowitej zupce małże, ślimaki, kraby i ryby. Basia jest w siódmym niebie. Ale mi też smakuje. W dobrych nastrojach wracamy do hotelu, starając się nie pamiętać, że nasza podróż powrotna do Polski stoi pod znakiem zapytania.

21.04.2010 (środa)

Po koreańskim śniadaniu w hotelowej restauracji jedziemy taksówką na lotnisko przez mocno zakorkowane ulice miasta. Z pewnymi obawami podchodzimy do odprawy. Na szczęście nasz samolot do Monachium leci! Nie chcą nam jednak odprawić bagaży do Krakowa. Pustawym samolotem lecimy do Seulu. Tu międzyrządowanie. Musimy opuścić pokład na godzinę. W sklepie bezcłowym wydajemy resztę naszych wonów, kupując m.in. koreańskie wino ryżowe. I tak w Monachium musimy odebrać walizki, więc przed wylotem do Polski będziemy mogli zapakować zakupy do bagażu głównego. Gdy Basia jeszcze chodzi po sklepach, ja zwiedzam znajdujące się na lotnisku niewielkie, ale interesujące muzeum kultury koreańskiej. W nim m.in. replika pagody ze świątyni Bulguksa i ekspozycja na temat druku ruchomymi metalowymi czcionkami wynalezionymi w Korei sporo przed Gutenbergiem. Ciekawe też informacje na temat tutejszego alfabetu, a także współczesne multimedialne (z ruchomymi np. motylami) wersje starych obrazów. Z niewielkim opóźnieniem startujemy do Monachium. Tym razem samolot jest już całkowicie załadowany.

W Monachium okazuje się, że samolot do Krakowa dziś nie polecą. Biegniemy po nowy bilet do stoiska Lufthansy. Rzutem na taśmę udaje się nam zmienić nasz lot na połączenie przez Warszawę. Pędzimy do bramki, którą przekraczamy jako ostatni pasażerowie. Szczęśliwie dolatujemy do stolicy Polski. Tu, w saloniku biznesowym, czekamy oboje na nasz lot do Krakowa. Przylatujemy na miejsce ok. 22:30, czyli kilkanaście minut przed naszym planowym przylotem z Monachium.

Okazuje się, że mieliśmy niezwykle szczęście. Sergio Benedetto, który był ze mną na spotkaniu w Seulu i bezpośrednio po nim rozpoczął podróż powrotną do Turynu, dotarł na miejsce również w środę, tak jak my, po kilku dniach tułaczki po lotniskach, dworcach kolejowych i autobusowych! Byeong Gi Lee, któremu dziękowałem po powrocie za gościnność w Korei, napisał, że „w poprzednim życiu musiałem być bardzo dobrym człowiekiem, że udało się mi tak bezproblemowo wrócić.” Na wszelki wypadek nie pytałem co sądzi na mój temat w obecnym życiu ☺.